



PRORZEK BIAŁY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK IV

NIEDZIELA, 14 MAJA 1944 R.

CENA
10
LIRÓW

Nr 12 (102)

JAN SZUŁDRZYŃSKI

WARTOŚĆ SOJUSZU POLSKO-BRYTYJSKIEGO

I
U podstawy wojny obecnej jest sojusz polsko-angielski z 1939 r. Dat on nie tylko początek wielkiego frontu wojennego kilkunastu sprzymierzonych narodów, ale stał się także początkiem nowej konstelacji politycznej, której znaczenie można ocenić jedynie biorąc pod uwagę całość potrzeb politycznych Europy.

Jeżeli w czasie wizyty w Londynie polskiego ministra spraw zagranicznych w maju 1939 r. nastąpiło tak istotne zbliżenie Anglii i Polski — krajów, dotychczas stosunkowo mało wzajemnie sobą zainteresowanych, to ten węzeł polityczny, jaki wówczas związał się, napewno nie wyrósł jedynie ze sporu granicznego polsko-niemieckiego; on wynikał z przeświadczenia, że zażądanie — to nie sprawa lokalna, lecz zagadnienie ogólnoeuropejskie.

Istotne znaczenie polityczne sojuszu polsko-angielskiego tkwi więc w tym, iż powstał on w obronie struktury politycznej Europy, którą Niemcy chcą przekształcić na swój sposób. Sojusz ten, to program obrony wolności narodów europejskich i niedopuszczenia do władzy hegemonii jednego z nich nad pozostałą resztą.

Trudno o pełniejszy czy istotniejszy cel dla sojuszu dwóch narodów. W nim jest zawarty wielki program polityczny, a rzecz najważniejsza, że tak jak program ten narzucał się w 1939 r., nie jest on koniunkturalnym, ale opartym o najtrwalsze zasady, rzadzące rozwojem politycznym i kulturalnym Europy. Wojna, którą przeżywamy, wybuchła nie z drobnej przyczyny. Tę myśl i najistotniejszy sens obecnej wojny zawarł w sobie sojusz anglo-polski.

Gdy dzisiaj tak często snuje się obawy o przyszłość Europy, jej znaczenie polityczne zarówno jak i kulturalne, gdy mówi się o możliwości bolszewizacji Europy — to im dłużej wpatrujemy się w sytuację, jaka zawiła nad Europą w 1939 r., tym lepiej rozumiemy, że u podstawy sojuszu anglo-polskiego leży myśl ratowania Europy, lecz troska o przyszłość naszej kultury politycznej i humanistycznej.

Dlatego, że tak głęboko pojmujemy znaczenie naszego sojuszu z Wielką Brytanią, wiążemy z nim zadania trwałe, a nie chwilowe. Już w 1941 r. pisaliśmy na łamach „Naszych Drog” Brygady Karpackiej przypominając dawniejsze styki polityki angielskiej i polskiej:

„Mimo geograficznego oddalenia, mimo wszelkich różnic pomiędzy wspierającą Anglią a Polską, wrosniona tak mocno w kontynent europejski w najczulszym jego ośrodku, stosunki polityczne między Anglią a Polską oparte były na mocnych i trwałych politycznych przesłankach. Czerpały one swoje uzasadnienie zarówno w zbieżnościach podstawowego pojmowania form współzależności międzynarodowej i dążności do utrzymania w Europie właściwej równowagi między narodowymi sił, jak również w zbieżności wewnętrznej ideologii społeczno-państwowej, która łączyła dziejowe podobieństwa”.

II

Minął już teraz piąty rok od chwili, gdy w kwietniu 1939 r. współpraca polityczna Anglii i Polski się zawiązała, wywołując następstwa na miarę największych wydarzeń historycznych; bo zawierając ten sojusz Anglia i Polska stały się założycielami obozu narodów sprzymierzonych, założycielami ich programu politycznego, z którym dzisiaj wiąże się wszystkie nadzieje zwycięstwa i lepszej przyszłości świata.

My Polacy możemy ze spokojnym sumieniem czynić rachunek z naszego postępowania; zrobiliśmy w tych 5 latach wszyst-

ko, czego sojusz anglo-polski od nas wymagał. Zrobiliśmy wszystko, tak jak tego wymagała jego wielka myśl programowa, którą pierwsi podjęliśmy w 1939 r. i którą umiemy konsekwentnie realizować; zrobiliśmy i robimy wszystko z najgłębszego poczucia, że utrzymanie sojuszu anglo-polskiego, dochowanie wierności jego podstawowej idei politycznej — jest niedczym w warunkach odrodzenia się Europy.

działania. Z szacunku stanowiska „pierwszego sojusznika” schodziliśmy powoli na pozycję sojusznika „najbardziej kiepskiego”.

Polityka rosyjska od samego początku zmierzała do pomniejszenia naszego znaczenia w obozie sprzymierzonych; do tego celu zmierzają stale szczerne insynuacje o rzekomych profaszystowskich tendencjach rządu polskiego, Naczelnego

przejawia się program zapłaty ziemiami Polski za sowieckie usługi w wojnie. Jest jasne, że w jednym i drugim przypadku sojusz polsko-angielski został przekreślony nie tylko w jego formalno-prawnym ujęciu, lecz także — i to zasługujące na wypuklenie — w jego podstawowej idei politycznej, na której oparta jest regeneracja wolności europejskiej.

III

Czy udział Rosji w tej wojnie może przekreślić wartości sojuszu polsko-angielskiego z 1939 r. i jego tak zasadnicze znaczenie dla potrzeb Europy?

Głosiliśmy zawsze przekonanie, że Polska jest trwałym — nie koniunkturalnym — partnerem europejskiej polityki zarówno Anglii jak i Ameryki, dlatego, że przywrócenie Europie struktury politycznej opartej o wolność narodów i harmoniję ich współpracę jest niemożliwe bez istnienia w pełni niezawisłego państwa polskiego. Każde odchylenie od tej tezy, geograficznie, historycznie i socjologicznie polityczną głęboko uzasadnione, spowoduje nietykalność stosunków i dalsze katastrofy, w skutkach swoich coraz zubożniejsze.

Eliminowanie znaczenia Polski, sugerowane przez oportunistów politycznych, zdradzające naszą wspólną programową myśl polityczną, byłoby tylko odwróceniem kierunku niebezpieczeństwa. Europa, w której prymat polityczny zamiast Niemcom przypadłby Rosji, nie będzie Europą wolną; będzie arsenałem przygotowywanych wielkiej politycznej i kulturalnej supremacji Azji.

Jeżeli Anglik z tych czy innych powodów chwilowej wygody politycznej chciałby się wyrzec sojuszu z Polską, musiałby się wyrzec także jego istotnej i podstawowej myśli politycznej, która w 1939 r. ten sojusz zrodziła; wyrzec się idei wolnej Europy, jej cywilizacji i kultury. Tak więc sojusz anglo-polski i odrodzenie wolności europejskiej — to dwa zagadnienia integralnie ze sobą związane — są one nierozdzielne.

Zdaniem naszym jest trwać na tym stanowisku, jakie zakreśla sojusz polsko-angielski, bronić nie tylko jego treści formalnej ale pełnej trwałej wartości politycznej; nie dać się w niczym wyeliminować z tej tak zasadniczej pozycji, jaką Polska posiada w zespole narodów sprzymierzonych. Musimy wbrew chwilowym trudnościom zawsze czuć się partnerem Anglii i tak wobec niej występować. Tylko czynne podejmowanie naszej roli, jako jednego z zasadniczych przedmiotów polityki europejskiej, stwarza nam prawo do życia i miejsce właściwe w świecie politycznym. Tylko przez jasne i twarde podkreślanie i tłumaczenie takiego stanowiska zdobywamy przyszłość dla Polski, realizujemy to, za czym opowiedział się cały naród, w czym trwa poprzez 5 lat najsurowszych doświadczeń.

Polityka angielska znalazła się w chwili obecnej w sytuacji kryzysowej, sytuacji, która z wielu względów domaga się wyjaśnienia i wyprostowania w zasadniczej linii kierunkowej. Konferencje londyńskie odbywają się obecnie w atmosferze ściągania się dwóch rozbieżnych kierunków: programu podziału Europy na strefy wpływów mocarstw i programu wyrażonego w Kartie Atlantyckiej, która doskonale utrwala ideę sojuszu polsko-angielskiego. Polska i nie tylko Polska, bo z nią wiele innych narodów, oczekują jasnego stanowiska Anglii.

W tych najbliższych decyzjach ważny jest istotna wartość sojuszu polsko-angielskiego; przejdzie on przez decydującą próbę wytrzymałości.



Gen. dyw. W. Anders, dowódca 2. Korpusu na szlaku z ziemi włoskiej do Polski.

Tak, zrobiliśmy — my Polacy wszystko, co do nas należało: i rząd, i armia i społeczeństwo na emigracji, a co jest najbardziej godne podkreślenia — dochovali pełnej wierności kraj, który — jak żaden inny kraj kontynentu europejskiego — nie dał się zwinąć z tej drogi politycznej, jaką została wytknięta przez sojusz anglo-polski z 1939 r.; wyrwał mimo najokropniejszego uciśnienia, w warunkach, które wszystkim innym okupowanym narodom kontynentu potrafiły narzucić łatwiejsze formy polityczne, szukające w porozumieniu z wrogiem doroznych korzyści. Naród polski na to nie poszedł, pozostał jednomyślny tak jak był nim w 1939 r. I to jest wielka rzecz, świadcząca i o dojrzałości politycznej i o głębokim zrozumieniu tej wielkiej roli, jaką Polska spełnia w obecnym przełomowym okresie rozwoju ludzkości.

A jak przedstawia się sojusz anglo-polski od strony naszego angielskiego partnera?

Nie ulega wątpliwości, że od kiedy Rosja weszła do wojny, sojusz polsko-angielski w brytyjskiej opinii politycznej nabral innej wartości i zarazem wszedł w okres ciężkiej próby. W ciągu blisko trzech lat przechodził różne fazy — lepsze i gorsze. Niejednokrotnie się zmieniło od czasu, kiedy Polska na londyńskich konferencjach państw sprzymierzonych, zwoływanych przez prem. Churchilla, pierwsza zabierała głos w sprawach wspólnego programu

Wedza i innych ośrodków niezależnej myśli polskiej.

Polityka rosyjska chce przekreślić opinię angielską, że zbliżenie Anglii i Rosji automatycznie eliminuje Polskę z jej dotychczasowego współpartnerstwa w obozie sprzymierzonych narodów, że Polska z roli średniego pośrednika politycznego schodzi do rzędu przedmiotu, podporządkowanego wielkiej polityce kolosa rosyjskiego. Rosja chce wydrzeć to znaczenie polityczne, jakie siłą rzeczy Polska posiadała jako wschodni sąsiad Niemiec i jako jeden z podstawowych punktów oparcia struktury politycznej Europy, i usiłuje sobie przypisać wszystkie te atrybuty. W takich warunkach, sojusz anglo-polski traciłby oczywiście swoje pierwotne znaczenie i byłby pochłonięty przez sojusz anglo-rosyjski.

Wiemy, że taki kierunek myśli ma dzisiaj poważnych zwolenników w opinii brytyjskiej, która jak to nieraz stwierdzali obiektywni publicyści angielscy, w tej wojnie nie wykazuje najwyższego poziomu politycznego zorientowania ani jasnego i konsekwentnego programu. Wyrzucam takie chwylowe atmosfery politycznej są: (1) idea polityczna podziału Europy na strefy wpływów, przy czym wschodnia część z Polski byłaby podporządkowana Rosji, idea, która znalazła wyraz w głośnym artykule „Timesa”, oraz (2) słynna mowa premiara Churchilla z 22 lutego, w której

Dr TADEUSZ FELSZTYN

SKOK PRZEZ SŁONĄ WODĘ

Jest rzeczą powszechnie znaną, że najlepiej zawsze wszystko wiedzą politycy i strategowie kawaliarni. W ich głowach rodzą się najcenniejsze posunięcia polityczne, najwspanialsze plany strategiczne. Odbły tylko ich rady zasięgnięto chciano! Ich sąd jest niezawodny, ich krytyka niemożliwa.

U nas miejsce kawaliarni zajmują co prawda gospodry, „lmcie”, „Naafi”, czy wreszcie — zależnie od warunków — kasyna, kwatery lub namioty. Ale typ stratega kawaliarnego pozostał bez zmiany. Siedzi sobie taki pan przy piwie lub innym mocniejszym trunku i powiada: „Ci durnie — taką prześlęli okazję! Ja bym tam, zamiast powoli przepychać się przez Włochy, był od razu robił desant w Nicei”. Inny mu przytakuje: „A jak się oni patyczkowali pod Anzio! Trzeba było pchać się śmiało naprzód. Ta przekleta angielska ostrożność ich zgubi”. A trzeci dodaje: „Tak, tak, mówię panu — ile czasu trwała ta ich przygotowania do awansji Europy. Niemcy na ich miejscu już z dziesięć razy by zrobili desant!”.

Takie i podobne opinie słyszy się na każdym kroku. Prócz wrodzonej przemądrzości, wypływają one z braku zrozumienia, czym jest desant i co jest konieczne dla jego powodzenia. A żeby ułatwić zrozumienie tego typu działań, które coraz ważniejszą zaczynają odgrywać rolę, postaram się w serii artykułów omówić kilka podstawowych zagadnień, związanych z desantami morskimi.

Na wstępie należy zdać sobie sprawę z tego, że desant morski różni się od działań lądowych nie tylko tym, że tam dowodzi się wojsko na pole bitwy statkami, tu zaś samochodami. Różnica jest znacznie głębsza.

Przed wszystkim bowiem, aby móc wojsko przewieźć statkami, trzeba te statki mieć. I to mieć nie tylko statki dla przewożenia wojska i sprzętu (a więc statki specjalne lub też odpowiednio dostosowane zwykłe statki handlowe), ale i okręty wojenne dla eskorty oraz łodzie i barki specjalne dla wykonania właściwego lądowania.

Niestety statki te nie stoją bezczynnie po portach i nie czekają, aż ktoś zechce się nad nimi zlitować i ich użyć. Wojna obecna bowiem, tocząca się na wszystkich kontynentach, wymaga przewożenia dużej ilości ludzi i wielkich mas sprzętu poprzez wszelkie morza świata stwarzając w ten sposób olbrzymie zapotrzebowanie na tonaż statków i okrętów. Zwycięstwo w bitwie o Atlantyk jest świeżej dopiero daty, nie tak dawno też dopiero ilość statków wyprodukowanych przewyższyła ilość strat w tej bitwie. Oswojenie Morza Śródziemnego, które zwolniło liczne okręty i statki od konieczności opływania całej Afryki — też nastąpiło stosunkowo niedawno. Tymczasem wojna już trwa piąty rok, zapasy wszędzie już poczynają się wyczerpywać, zapotrzebowanie na przewozy rosnąć w każdym dniu. Równocześnie przygotowania do przyszłych działań wojennych wymagają przewożenia tak wielkich ilości ludzi i sprzętu, że — mimo ciągłego wzrostu ogólnego tonażu sprzymierzonych — jest on ciągle jeszcze niedostateczny, by w pełni zaspokoić wszelkie zapotrzebowanie.

Jeżeli więc w pewnej chwili powstanie potrzeba wykonania desantu, np. dla wyminięcia oporu, którego przełamanie na wprost byłoby zbyt kosztowne, lub też jeżeli wypadki wojenne zmuszą do wykonania lądowania w miejscu lub czasie nie przewidywanym przez poprzednio ustalone plany, nie wystarczy powiedzieć: „Te i te dywizje wykonają desant tam i tam”, lecz trzeba do tego jeszcze — a raczej przede wszystkim — zapewnić środki przewożenia morskiego dla tych dywizji.

Oznacza to, że admiralia, która dysponuje całokształtem ruchu wszystkich jednostek morskich i która przecież pracuje planowo, a więc przewiduje takie, a nie inne użycie tych jednostek w najbliższym czasie — musi plany swe przerobić, ażeby uzyskać potrzebny tonaż nie tylko dla wykonania zadania bojowego desantu, ale również i dla późniejszego żywienia tego desantu wszystkim, co mu jest potrzebne dla walki i życia. Jak o tym będzie mowa w następnym artykule — wymaga to znacznie większego tonażu, niż samo lądowanie.

Każda zmiana planu wymaga pracy, a — jeśli ma ona być wykonana tak, by nie uniemożliwiła wykonania innych, nie-

mniej ważnych zadań — to wymaga i kompromisu. Potrzebny jest więc czas na wykonanie tego zadania.

Oto pierwsza przyczyna, dlaczego można ostatecznie w ciągu dwu dni wydźwignąć dywizję z jednego odcinka frontu i rzucić ją do natarcia na odcinek drugi (takie przerzuty miały miejsce np. w czasie bitwy pod El Alamein) — choć niewątpliwie taki pospłach stwarza dodatkowe ryzyko — ale nie można w tak krótkim czasie połączyć tej samej dywizji wykonania desantu. Czas do tego potrzebny jest wielokrotnie dłuższy.

Do tego dochodzi czynnik inny, bardziej jeszcze powiększający czas konieczny dla przygotowania desantu. Zadania desantowe wymagają bowiem nie wspólnych znaczeń, bardziej szczegółowych niż zwykłe natarcie lądowe. I tak np. — przed każdym natarciem trzeba rozpoznać teren, na który zamierzamy naciąć. O ile jednak w natarciu lądowym można rozpoznanie lotnicze uzupełnić przez obserwację naziemną i przez patrole, o tyle przy desancie morskim oprócz się można jedynie na zdjęciach lotniczych, na posiadanych materiałach kartograficznych i na wywiadzie agencji-

może się odbywać pod bezpośrednim ogniem broni małokalibrowej i dział przeciwpancernych. Piechota musi więc w czasie nocy zdobyć taki przystanek, który by zapewnił względnie bezpieczną wyładownię broni ciężkich i musi przyczółek ten utrzymać mimo ewentualnych przeciwnatarć przeciwnika. Wobec szczupłości sprzętu przy desancie i trudności jego wyładowni na ląd, stwarza to dodatkowe zagrożenie, z którym przy normalnym natarciu lądowym nie ma się zupełnie do czynienia.

Do tego dochodzi drugi typ zagadnień specjalnych, związanych z zapotrzebowaniem i dopływem posiłków. Ażeby desant mógł się udać, trzeba utrzymać ciągły dopływ ludzi i środków, trzeba więc móc wydładować dostateczną ilość sprzętu i dostateczną ilość żołnierzy aby wspomnieć, uzupełnić, luzować i zaopatrywać oddziały, które wyładowały pierwsze. Ażeby to skutecznie, najlepiej jest zdobyć jakiś port, umożliwiający to wydładowanie w warunkach gwarantujących możliwie jak największą wydajność, a więc możliwie jak najobfitszy strumień posiłków i zaopatrzenia. W zasadzie do tego celu wystarczyłby i nadbrzeżnie improvisowane. W praktyce jednak nie

to powodują, że ilość ludzi, którzy mogą wydładować w pierwszych rzutach desantu, jest z natury rzeczy niewielka.

A nado w liczbę tej co drugi nieomal żołnierz jest przeznaczony nie do walki, ale do prac na brzegu. Trzeba bowiem pamiętać o tym, że największa nawet ilość ludzi wysadzonych na brzeg nieczego nie dokona, jeśli nie zapewnimy im dostatecznej ilości broni — zwłaszcza przeciwpancernej i wsparcia oraz ciągłego strumienia posiłków i zaopatrzenia. Trzeba więc na brzegu stworzyć warunki, umożliwiające wydładowanie sprzętu, zwłaszcza ciężkiego i zorganizować sprawnie pracujący ośrodek zaopatrujący siły, które wydładowały.

Należy więc przede wszystkim dostosować brzegi do przybijania większych łodzi i barek desantowych, a nadbrzeża do wyładunku ciężkiego sprzętu w głąb lądu. Należy następnie zorganizować i urządzić teren w pobliżu wybrzeża tak, by cała ta praca odbywała się sprawnie, szybko, bez tarć, w najlepszych warunkach, a równocześnie bez dużych skupień, stwarzających doskonałe cele dla artylerii dalekonośnej i lotnictwa nieprzyjacielskiego. Ażeby zaś tego wszystkiego dokonać, trzeba ludzi — i to dużo ludzi, gdyż — jak już wspomnieliśmy poprzednio — nieomal jednego żołnierza do pracy na brzegu na jednego żołnierza przeznaczono do walki.

Obie te kategorie żołnierzy ludają jednocześnie. Nigdzie może indziej zaopatrzenie nie jest tak bezpośrednio wciągnięte w strzał walki, jak w desancie morskim. Już z pierwszymi łodziami, jakie przybijają do brzegu, ludają oficerowie i szeregowi służby brzegowej, a w każdej następnej fali łodzi desantowych, wraz z żołnierzami, którzy mają walczyć, ludają i żołnierze, którzy mają przeprowadzić prace na brzegu. Fakt ten jeszcze bardziej uszczupla ilość ludzi, których można użyć do walki w ciągu kilku zaledwie godzin, pomiędzy chwilą, gdy pierwsze łodzie przybiły do brzegu, a świtem, który znacznie utrudnia dalsze działania.

A czasu tego nie można zbytino rozciągać. Jeżeli bowiem dla przeprowadzenia działań na lądzie korzystniej byłoby dla łodowców możliwie wcześniej po zmroku, to z punktu widzenia zaskoczenia wskazane jest, by flota desantowa płynęła jak najdłużej pod osłoną ciemności, nie zdradzając w ten sposób miejsca, gdzie nastąpi lądowanie.

Jeszcze trudniej przedstawia się sprawa sprzętu. Przede wszystkim nowoczesny sprzęt bojowy jest duży i ciężki. Wiemy dobrze, że wzrost potęgi broni pancerniej pociągnął za sobą wzrost mocy, a więc i ciężaru broni przeciwpancerniej. To samo i w innych działach uzbrojenia. A prócz sprzętu bojowego trzeba wydładować również i wielką ilość środków transportowych, bez których nie jest możliwe zaopatrzenie wojska oraz środków saperkich, niezbędnych dla szybkiego dostosowania zdobytego wybrzeża do prac wydładowczych.

I tu znów ilość środków, jakie można wydładować w pierwszym okresie desantu, jest niezmierznie szczupła w porównaniu do tej, jaką by wydładować się chciało. Konieczny jest więc bardzo staranny kompromis i rozwiązanie nie tylko tego, co lepiej wydładować, czy działa przeciwlotnicze, czy artylerię przeciwpancerną, lub czy baon piechoty, czy też odpowiednią ilość dział towarzyszących, ale nawet, co lepiej mieć na brzegu, dajmy na to, 100 ludzi, czy dwie maszyny saperkie do prac na wybrzeżu. Rozwiązanie oczywiście nie może być schematyczne i będzie wymagało szczegółowego rozpatrzenia zarówno warunków taktycznych jak i terenowych.

Jasne jest, że w tych warunkach oddziały nowoczesne, przyzwyczajone do obfitego taboru samochodowego, muszą się obywać w pierwszych dniach po wydładowaniu znacznie szczuplejszą ilością samochodów, co znów pociąga za sobą konieczność drobiazgowego przemyslenia ładunku każdego samochodu.

Wszystko to wymaga bardzo gruntownego przygotowania, ścisłych kalkulacji i wielokrotnego nieraz przymierzania zamierzeń do możliwości. A więc znów potrzebny jest czas na planowanie.

To planowanie jednak nie wyczerpuje całości prac przygotowawczych i stanowi raczej tylko podstawę, na której oprócz się muszą dopiero prace bardziej szczegółowe.

O pracach tych pomówimy następnym razem.



Plaża w Istionio Dal Mare

nym. A wiedzieć trzeba znacznie więcej. Przede wszystkim trzeba znać dokładnie warunki hydrograficzne i klimatyczne, ażeby określić, kiedy można lądować. Warunki przypływu i odpływu oraz wiatry wywierają tak decydujący wpływ na możliwości lądowania, że na niektórych morzach istnieje zaledwie kilka dni w miesiącu, kiedy lądowanie jest w ogóle możliwe.

Następnie trzeba dokładnie znać ukształtowanie brzegu i dna morskiego w pobliżu wybrzeża oraz umocnienia na samym wybrzeżu i przeszkody podwodnych, ażeby wiedzieć, które odcinki nadają się do lądowania, a które nie. Konieczna jest również znajomość lądu w pasie przybrzeżnym, ażeby ustalić możliwość przeprowadzenia działań, czołgów, pojazdów itp. z wybrzeża w głąb lądu.

Uzyskanie tych wszystkich wiadomości jest niezbędne, zanim w ogóle można pójść do myśli o prowadzeniu działań. A wywiad i rozpoznanie muszą być tak dyskretne i skierowane na tyle młodo, by nieprzejawiały się w ich podstawie odgadnięcie, w którym miejscu zamierzamy lądować. Dopiero po uzyskaniu tych danych można przystąpić do właściwych prac przygotowawczych dla lądowania oprócz rozważań, z którymi mamy do czynienia w normalnych działaniach lądowych, dochodzą jeszcze pewne czynniki specyficzne związane zarówno z samą techniką lądowania, jak i z warunkami zaopatrzenia po wydładowaniu.

Piechota ląduje zwykle w nocy. Desanty dzienne należałyby do wyjątków i przeprowadzane je jedynie tam, gdzie opór nieprzyjaciela nie było lub był bardzo słaby. Nieraz wydładowywanie ciężkiego sprzętu na ląd jest w nocy urzeczanie niemożliwe. Jeśli więc wydładowywanie to nie ma pociągnąć za sobą bardzo ciężkich strat i w ogóle jeśli ono ma się udać, to nie

było dotąd poważniejszego desantu, któryby nie starał się uchwycić jakiś choćby najmniejszy port. Plan działania musi więc przewidzieć możliwie wcześnie zdobycie tego portu, co stwarza dodatkowe trudności dla przygotowania manewru.

Ażeby praca wydładowcza mogła się odbywać skutecznie i sprawnie, i to zarówno w porcie, jak i na nadbrzeżach, zastępujących ten port do czasu jego zdobycia i uruchomienia, konieczne jest, by miejsce wydładowywania nie leżało co najmniej w zasięgu obserwowanego ognia artylerii. Oprócz więc wspomnianego wyżej przyczółka, zapewnić należy względnie bezpieczne lądowanie ciężkiego sprzętu bojowego, konieczne jest zdobyć jeszcze w następnej fazie znacznie szerszej pozycji ubezpieczającej, która umożliwi ciągłą pracę wydładowczą i stanowić będzie podstawę wyjściową do dalszego natarcia w głąb lądu.

Zadania stojące przed oddziałami, które pierwsze wydładowały, są więc rozległe. A tymczasem ilość ludzi, którzy mogą lądować w pierwszym rzucie desantu jest zawsze szczupła, ilość zaś sprzętu, który w pierwszym okresie lądowania można wysadzić na ląd, jest bardziej jeszcze ograniczona.

Wiadomo, że zwykle przy natarciu dowódcą ma mniej sił, niż by ich sobie życzył mieć i że każdy plan natarcia jest kompromisem między tym, co dowódcy wydaje się koniecznym, a tym, czym on dysponuje. W warunkach desantu morskiego kompromis ten jest jednak jeszcze trudniejszy. Szczupłość środków transportowych, nie wielka ilość brzegów nadających się do przybijania, czas jaki musi upłynąć między przybyciem jednej a drugiej fali łodzi (spowodowany tak warunkami nawigacyjnymi, jak i koniecznością unikania zbyt wielkich skupień przy brzegu) — wszystko

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

B A L L A D A

1.

W Warszawie jedną aleję nazwano aleją Churchilla,
Chrzczący ją polskie podziemia, a napis wyryto w pamięci,
Miasto chodziło tam patrzeć, czy noc się nad światem przesila,
Matka — czy syn jeszcze żyje, a żołnierz — jak noże się święci.

W Warszawie jedną aleję nazwano aleją honoru
I kraj się na niej położył jak pies na ostatnim sztandarze:
Waruje czy leżą z Anglii lotnicy każdego wieczoru,
Czy piechur kłęczy w okopie i płyną śród mgły marynarze.

2.

Wylecieli, wylecieli
Na tysiące w górę stóp,
Z chwały, ognia, chmur kąpieli
Pospadali prosto w grób.

Wili wieńce w Battle of Britain,
Krucze wieńce, wata garsć,
By nad nocą polską światem
Rozsypanym wzejść i paść.

I pokładli się spokojnie,
Szpalarami w równy rząd.
Ach, na wojnie, jak na wojnie,
Przyszli tu, nie wrócą stąd.

Stąd już nic ich nie uprzątnie,
Nie wywabi — zasłi krwią.
Pikowali prostokątnie
Z chmur pod ziemię. Teraz śpią.

Leżą cicho rok i więcej,
W słuch zmieniony każdy grób,
Sprzymierzeńcy, sprzymierzeńcy
Obliczeni na sześć stóp.

Każdy w ciemnym grobie słucha
Wiosen w górze, wiatrów, zim,
Jaka przyszłość, kto mu dęcha
Dotrzymuje, kto jest z nim.

Śni i słucha rok i sto lat
Ten kto pierwszy podjął straż
I ostatni zejdzie z pola.
Taki zwyczaj. Parol nasz.

3.

A piechota na piechotę
W duszny wrzesień, w mróz i stół
Wyszła z domu, poszła w świat,
Po Europie pełną tanki,
Żołnierz z brzozy do glinianki
Twarzą w muł wyschnięty padł.

Słuchał w lochu Westerplatte:
„Pomoc idzie na odpłatę,
Wytrwaj tylko, stój jak mur”.
Więc stał, ginął i szedł dalej,
Gdy się inni poddawali
W Francji i pod Singapore.

Więc pod niebem stał okrutnym
Koło Lwowa i pod Kutnem
I do śmierci trwał pod Reims
A z nim razem się uparli
Wierzyć — żywi i umarli —
W nadrozumny, wieczny sens.

Więc szedł, bił się, gdzie mu dali,
Od Narwiku do Gazali.
I do Polski znowu z Włoch
Po żołniersku, prostą drogą
Idzie, padnie jeśli zmoże,
Znowu twarzą, znowu w proch.

Po żołniersku i uczciwie
Płaci życiem, by po żniwie
Podjąć ziemi własnej garść,
I podumać w sercu skrytym,
Że nad Polską by wzejść światem,
Trzeba tyle razy paść.

Że nim zboże podojrzuwa,
Małwy wzrosną, dojdą drzewa,
Już tą ziemią idzie jęk,
I już nie ma z niej odwrotu:
Krew i łzy i krople potu
I ściśnięta siła szczęk.

Żadna moc go nie odstraszy
Przy wolności naszej, waszej
Stać i bić do końca z dział,
I dotrzymać obietnicy —
Sojusznicy, sojusznicy...
Taki zwyczaj. Słowo dał.

4.

A kiedy konwój przepływał Północą,
Kołem polarnym, do Rosji z pomocą
I nagle alarm szedł racą po racy,
Kiedy okręty kurs brały do boju —
Czy nie płynęli w tym obcym konwoju
Na pomoc Rosji Polacy?

Marynarz pocisk ładując w komorze
Czy szemrał, kwasiał i mądrzył się może
I dogadywał się aż do przymierza,
Po Ostaszkowie i łagrze w Koziełsku
Czy nie uczciwie i nie po żołniersku
Obliczał wybuch z dalmierza.

Oerlikon gdał, a potem się krztusił,
Wiatr kogoś zdmuchnął i kogoś zadusił
A komus ręce urwało w ramionach,
Nieśli ich zewsząd po mokrym pokładzie,
Czy widzisz, jeden przy drugim się kładzie,
Ktoś krzyknął: Polska! I skonał.

Lekarzy było aż dwóch. Czy nie mało,
Gdy tamtym ginąć tak bardzo się chciało,
Że pokład, pomost i mesę zalegli,
A naloł helmy znów zrywał na głowie
I pożar wybuchł gdzieś. Z drogi, panowie,
Z drogi, koledzy polegli!

Aż do Murmańska po bitwie jechali
Ratować rannych i nieść ze szpitali
Zmarłych na cmentarz i składać tam kości,
Tam na Północy, rosyjskiej Północy,
Gdzie jeszcze stało na tyle pomocy
Nas, obszarpanców wolności.

Aż powrócili na pokład i deski
Krew z nich pozmywać. Śród pustki niebieskiej
Patrzyli w morze, na szlak tajemniczy,
Dokąd znów trzeba im będzie popłynąć,
Komu na pomoc, znów walczyć i ginąć,
Czy to się także nie liczy?

A kiedy Garland powracał Północą,
Ktoś na organkach do późna grał nocą
O małwach, sadach, co lgną ci do ręki,
O kłosach, wrzosach. Ach, drogą daleką,
Kiedy wrócimy, co jeszcze nas czeka!
— I znów ściśnięły się szczęki.

5.

W Warszawie jedną aleję nazwano aleją Churchilla,
Matka przy synie i m kłką, beznadzie nad trupem się schyla,
Luty wiatr szarpie jej chusikę, zaszkłone obmarzły mu oczy,
Jak cię przed wichrem osłonić, kiedyż ta noc się przetoczy?
Gdzież to cię donieść, pochować, pięć lat się już próba powtarza,
Ach, nie w Murmańsku — w Warszawie każdego jest grób marynarza,
Jak cię tą chusiką otulić i dowlec cię gdzieś do ostaka,
Pilotie nasz i piechurze, nad każdym pochyla się matka,
Nad każdym, co w noc tę ruszył, i w drodze na twarz nagle pada,
Schyla się, szepce coś, szepce — i krąży po Polsce ballada.

6.

Mówmy otwarcie: pan, majorze,
Coś długo w bojach bił się jary
I wytrwał — nawet pan nie może
Jednego nam odebrać: wiary.

Sam pan powiedział, że do rządów
Nie po to pana król powołał,
By mu imperium z mórz i ładów
I lwa nad nimi zlikwidował.

Chłop polski też na wojnę poszedł
I kraj się bije niepodobity
Nie po to, nie — by przez rykoszet
Utracić pół Rzeczpospolitą.

Może przechytzy gdzie kogo,
Czarne za białe mu wyłoży,
Po krwi, po łzach ktoś nasza drogą
Przewali się w pochodzie. Może.

Tylko niech pan nie mówi wtedy,
Resztkę spędzając niepokoju,
Że to już koniec, kres, półbiedy.
Niech pan nie mówi o pokoju.

Trzy razy z domu szedł na sto lat
Bić się po lasach i z kulbaki
Półmartwy się osunął Polak.
Taki ma zwyczaj. Parol taki.

Zimą to było lub w jesieni,
W niedawnych czasach. Nic nie wróży,
Że teraz parol ten się zmieni
I echem leśnym nie powtórzy.

Ci ludzie nie są kondotierzy
I nie chcą pana ocyganić:
Ziemia jest tam, gdzie ziemia leży
W małwach i sadach, w zbożach granic.

Nie po to ktoś z Tobruku zbaczał
Na gorzką północ do Murmańska,
By kraj w rostajach znów się tacał
Jak karczma od cudzego tańca.

Więc niech pan nie nie mówi światu
Umęczonemu o pokoju,
Bo mógłby strzelić kto cytają
O nowej krwi, o łzach, o znoju.

Ale to przyszłość, mgła daleka,
Nie wiedzieć co przyniosą wieści.
Wróćmy na miasto. Tam nas czeka
Koniec tej chmurnej opowieści.

7.

W Warszawie jedną aleję nazwano aleją Churchilla,
Wolność tam stoi samotna. Samotnie się z nocą przesila.

8.

W Warszawie jedną aleję nazwano aleją wytrwania,
Zamek przysiędza jej w gruzach, w Palmirach zwołują się kości
I ghetto krzyczy ze śmierci, że teraz już tego nazwania
Nic nie odejmie szkieletom leżącym jak pies przy wolności.

9.

Aleją honoru chodzi w Warszawie dziś człowiek najprostsz.
To żołnierz.

Nóż ma w podziemiach.

I ostrzy go, ostrzy go, ostrzy.

WYWIAD Z MARSZAŁKOW

PRZEPROWADZONY SPEC

Edynburg, 19 marzec 1944.

Pani Marszałkowa od dłuższego czasu mieszka w Edynburgu, gdzie jej starsza córka — panna Wanda — studiuje medycynę. Młodsza panna Piłsudska — Jadwiga — jest ferry-pilot, a w chwilach wolnych od zajęć studiuje architekturę. Pani Marszałkowa mieszka w dwupokojowym, niewielkim mieszkanku. Jej pokój sypialny jest zarazem sitting-roomem, a raczej odwrotnie: w typowym skromnym szkockim sitting-roomie stoi w kącie mały tapczanik. Mieszkanie, jak wszystkie ubogie szkockie mieszkania o tej porze roku, jest przeraźliwie zimne. Pokoje są na pierwszym piętrze. Na parterze znajduje się kuchnia. Pani Marszałkowa nie korzysta ze służby. Sama przygotowuje wszystkie posiłki dla siebie, córki i pana Jana Piłsudskiego, który po powrocie z Rosji wymaga starannego odżywiania.

Pani Marszałkowa prowadzi jak najbardziej czynne życie społeczne. Występuje z odczytami dla miejscowego społeczeństwa szkockiego. Utrzymuje rozległe stosunki z przetrzymami angielskimi i szkockimi stowarzyszeniami i działaczami. Pare razy tygodniowo w tym właśnie zimnym sitting-roomie schodzą się żołnierze różnych stopni. Bez względu na stanowiska wypowiadają swoje bóle i zmartwienia, których jest, niestety, coraz więcej. Pani Marszałkowa wysłuchuje wszystkich z tym samym niezmiennym spokojem, z tym dobroliwym i serdecznym uśmiechem. W chwilach najcięższych, gdy młodzi tracą nadzieję, a starszym opadają ręce z beznadziejnością, odwiedających wrzasta jeszcze bardziej. Każdy uważa za swój obowiązek podzielić się z Panią Marszałkową najdrobniejszymi wątpliwościami nie licząc się z częstotnością ani z jej nerwami, ani z jej zdrowiem. Wychodzą stamtąd zawsze spokojniejsi i pewniejsi. Może to auto sugestia, a może to dar i doświadczenie życiowe towarzyszy życia Wielkiego Marszałka.

Przyjmuje mnie Pani Marszałkowa, wyrażając zgodę na wywiad dla „Orla Białego”, w kilka dni po otrzymaniu wiadomości, że obie dziewczynki I Korpusu weszły do akcji bojowej. Pozwalam więc sobie od razu na wstępnie zapytanie Panią Marszałkową, czy nie uważałaby za stosowne i potrzebne wypowiedzieć się właśnie w związku z tą okolicznością. Towarzyszy Pani Marszałkowej staje się dzielnia troskarska i jakby smutna. Wyczuwam głęboką treść tego smutku. Czy nie takim smutkiem nacechowane są słowa Józefa Piłsudskiego w jego „Roku 1920”, gdy pisał: „... myślałem, że wojna nie tylko się wywodzi, lecz że w ogóle zginąć na zawsze musi... wojna więc zniknie! I znowa wisięca nad tym pokoleniami ludzkimi raz wreszcie sama się zabije”. Tak! To taki sam smutek i taka sama troska o życie ludzkie, o każdą kroplę krwi polskiej, której wartość, wagę i świętość człowiek potrafił tylko ludzie, którzy sami swe własne życie rzucili w ofierze ojczyźnie, którzy sami nie wahali się przeleć krew swą do ostatka. Pani Marszałkowa mówi:

— Życie każdego człowieka jest najwyższą wartością, którą poświęcić należy i trzeba tylko w imię celów najwyższych i najważniejszych. Tym celem dla nas Polaków jest nasza ojczyzna, nasz naród, nasz kraj, żyjące i rozwijające się w atmosferze międzynarodowej wolności, demokracji i pokoju. Pokolenia polskie przeżyły też krwi ponad miarę, znaną w historii narodów. I na to pokolenie, które teraz walczy, przyszła jego kolej. Lecz, jak wszystkie poprzednie pokolenia, musi ono być owiane duchem wiary, że walczy o dobrą i słuszną sprawę. Nie może tak być, by walczyło o jakieś obce, abstrakcyjne interesy, a nie pamiętać o własnej sprawie, o ziemi ojców swoich, dla której niepodległość swoje pokolenie poświęcało swe życie w równie ciężkiej, może jeszcze cięższej sytuacji. Nie mielibyśmy przecież wówczas za sobą faktu powstania uznanego przez wszystkich niepodległego państwa. Nie mielibyśmy rządu. Nie mielibyśmy podstaw prawnych. Nie mielibyśmy tej pewności, co zrobić w Polsce można, którą winny mieć pokolenia obecne.

W narodzie naszym jest wiele wad i przywar. Popętniliśmy, popełniali i zapewne popełniać będziemy wiele błędów. Ale jego generalna linia moralno-ideowa

jest bezbłędna. Jego pretensje do świata są minimalne. Jego ambicje terytorialne są żadne. Posiadał przed wojną to, co mu się należało i to nadal posiadać musi. Świat cały w Polsce zyskał niebawyma wojennyma przeciwko przymusowi i gwałtowi. Wydaje mi się, że nikt z Polaków nie wymaga za to żadnej innej zapłaty, jak tego, by pozostawiono nas w spokoju, byśmy mogli nadal budować nasz własny byt, byśmy mogli nadal odbudowywać zniszczoną przez zaborców naszą kulturę, byśmy mogli nałóg pogłębiać nasze życie społeczne osiągając maksymalny w naszych warunkach dobrobyt dla wszystkich pracujących, dla wszystkich obywateli bez różnicy narodowości i wyznania. Nie możemy się bić u boku żadnego sojusznika o żadne granice, niż o te, które były naszymi i które nam się należą.

Żołnierz nasz musi mieć całkowitą gwarancję, że granice zachodnie, o które walczy, nie będą granicami jakiegos obcego mu duchem, wiarą, kulturą, ustrojem społecznym, systemem gospodarczym, „związku”, do którego kraj nasz i naród, wywołany wojną, zostałby wtłoczony przymusem. Cała ludzkość, a my z nią razem, walczą o zwycięstwo dobra, a nie zła, o wolność, a nie o niewolę. Mamy nie tylko prawo, lecz i obowiązek myślenia o tym. Mamy nie tylko prawo, lecz i obowiązek



Fotografia „Żułka” z czasów szkolnych

mówienia o tym. Bo któż za nas powie te prawdy najświętsze, które dotyczą najistotniejszych praw, nie tylko naszych, lecz i przyszłych pokoleń.

Dlatego tak mało uważacie na to, co robił Piłsudski w równie ciężkich chwilach? Żadna perspektywa władzy, żadna wizja doraźnego spokoju nie skłoniły go do najmniejszych ustępstw, czy oportunistów. Wiedział dobrze, że nie wolno mu dysponować tym, do czego tylko cały naród ma prawo i czym nawet jedno pokolenie, nie tylko pojedynczy ludzie, nie mają prawa dysponować. I tylko stać na twardym, niezłomnym stanowisku praw narodu, ogłaszając się w „wreszcie” i bacznie uważając na przyszłość, wymuszając od świata tego co nam się należy, a czego w imię doraźnych korzyści poświęcić nikomu nie wolno — narodzić prawo dysponować życiem własnym, życiem naszych braci, ojców i synów. Bo wtedy walka ma sens najeźdźczy, najmoralniejszy, najświętszy. Wtedy wszystkie ofiary są wybaczone i wtedy tworzy się historia, a nie Targowice. Żuk mówił, że zawsze trzeba mieć jeden cel i do tego celu iść za wszelką cenę. Był już ciężko chory i nie mógł wiele mówić. Więc czasami tylko jakimś półdźwiękiem wyrażał swą troskę o przyszłość Polski. „Zobaczcie, że stracie Polskę, gdy nie będziecie mieli celu wyznaczonego wyznaczonego. Jednego celu! Nie ustępować w niczym. To jest Polska najmniejsza, jaką macie i jaka ostatecznie może być”. I jakby podkreślić chciał wagę słów swoich, podnosił rękę i ruchem jej wskazywał: taki musi być prosty i zdecydowany kierunek, a nie żaden inny, chwiejny i wahałowy.

— Czy Pani Marszałkowa nie zechciałaby powiedzieć kilka słów na temat stosunku Józefa Piłsudskiego do Rosji. Propaganda obca, a niestety nie tylko obca, robi stale opinię, że Józef Piłsudski był rusofilem. Że żył w „złoty wiek” nienawiści do Rosji i Rosjan, i że tą nienawiścią

nasyceni byli do głębi cały jego polityczny i wojskowy. Że nie mógł zdobyć się na obiektywizm i dlatego straciłmy okazję do nawiązania dobrych, spójnych stosunków z Rosją.

— Piłsudski nie był ani rusofobem, ani rusofilem. Zarówno jako człowiek, jak też jako polityk nie był w ostatecznym „fobem”, ani „filiem”. Nigdy nie miał żadnych innych idei, jak idea własnej, niepodległej, naprzód suwerennej i naprawdę polskiej Polski. Nie szukał i nie wierzył w żadne inne oparcie, jak w oparcie o własny naród, w który wierzył głęboko, aczkolwiek nie szczędził mu osłych słów upomnień i nagany. Walczył nie z Rosją ludową, demokratyczną, nie z narodem rosyjskim, nie z jego kulturą, które znał dobrze i które umiał cenić, lecz walczył z zaborcą, niszczycielską polityką naprzód ciętą, później rządu bolszewickiego. W socjalistycznej Rosji — później w bolszewickiej — dopatrywał się na długo przed rewolucję niewiastki imperializmu rosyjskiego, tak samo niebezpiecznej dla narodów ujarzmionych przez Rosję carską, jak imperializm absolutystyczny monarchistyczny.

Żuk rozumiał nie tylko teoretycznie, lecz i praktycznie, jako Polak, socjalista i rewolucjonista, że „wolna Polska nie może być istotnie swobodna, dopóki nokoło panuje wciąż hasło niewolniczego poddawania woli narodowej przemocy terroru”. Uważał, że tylko socjalistyczno-rewolucjonistyczna Rosja wyznawała szczerze i bez kazuistki teorie samostanowienia narodu i współpracował z nią w obaleniu ustroju carskiego, który, jego zdaniem, równie niebezpiecznie upadł naród ujarzmiony przez Rosję, jak i samych Rosjan. Podejrzania Żuka co do imperializmu bolszewizmu okazały się słuszne niemal natychmiast po rewolucji październikowej. Rząd bolszewicki od razu zaczął tworzyć rzekomo narodowe, a w gruncie rzeczy jak najbardziej centralizowane w Moskwie rządy fińskie, estońskie, litewskie, białoruskie, ukraińskie i polskie. Partiom komunistycznym poszczególnych narodów nie pozwolono na żadną samodzielność i związano wszystkie w jednym a despotycznym centralnym komitecie.

Nie innyśmy rozpoczęli kroki wojenne z Rosją, lecz gdy bolszewicy utworzyli nam „litewsko-białoruską republikę”, która sięgała w 1918 r. po Mławę i Białystok, weszła — wbrew woli olbrzymiej większości ludności — na ziemię jak najbardziej polską, gdy w Moskwie rozpoczęło się organizowanie czerwonego wojska polskiego, a później czerwonego rządu polskiego, gdy w Moskwie rozpoczęło się przygotowanie do czerwonego najeźdu na Europę poprzez Polskę — musieliśmy odeprzeć tę próbę, już nie tylko restauracji, lecz nawet rozszerzenia carskiego posiadania i stanąć w obronie praw narodów Rzeczypospolitej, zgodnie z ich wola. Bolszewicy w 1917 r. uznali Ukraińską Republikę Ludowo-Demokratyczną. Mimo to utworzyli konkurencyjny rząd ukraiński, bolszewicki, nota bene złożony z ogromnej większości nie-Ukraińców. Nasz pochod na Ukrainę nie był żadnym uderzeniem w Rosję. Ukraińska Republika Ludowa, z którą podpisałmy traktat, była uznana przez kilkanaście państw świata, na czele z Francją, Wielką Brytanią, Niemcami, Turcją i... samą Rosją sowiecką. Szliśmy na Ukrainę nie po to, by ją przyłączyć do Polski, bo byliśmy związani z legalnym rządem ukraińskim wyraźnie określając granice traktatem (nota bene te same granice przyznał nam później Traktat Ryski), lecz po to, by dopomóc Ukrainie w restaurowaniu swej niepodległości. „Polska osiągnęła najwyższy szczyt na ziemi, to jest wolność, zdecydowała się odrzucić wszystko to, co wolności zagraża, jak najdalej od swych granic”.

Przeciwstawiliśmy Ukrainie Rakowskiego Ukraińskiego Petlurę z tą różnicą, że Ukraina Petlury była uznana w stosunkach międzynarodowych, a Ukraina Rakowskiego była wówczas wyrażoną fikcją, niemal taką, jaką była „Polska” Marchlewskiego, Dzierżyńskiego i Kohna. Do narodu ukraińskiego należało wybrać spośród tych dwóch form państwowych — jedną. Bolszewicy obiecali chłopom ukraińskim własność ziemi, obiecali całkowitą niezależność państwową względnie do odrębnej polityki zagranicznej i wojska

narodowego. Obiecali całkowitą możliwość własnego życia gospodarczego i kulturalnego. Naród ukraiński uległ tym obietnicom. Wszyscy wiemy, co się stało później. I wszyscy wiemy, ile milionów Ukraińców przypłaciło swym życiem to złudzenie narodu ukraińskiego. Naród ukraiński jeszcze raz powtórzył tragiczną omyłkę ufając Moskwie, podobnie jak w okresie traktatu perejaślawskiego za czasów Bohdana Chmielnickiego. Piłsudski zachował na zawsze do Ukraińców głęboki żal, nie tyle mając już polskie interesy na względzie, ile zdając sobie sprawę, że być może była to ostatnia historyczna możliwość osiągnięcia przez ten naród — jeden z narodów Rzeczypospolitej — niepodległości.

Lecz ofensywa na Polskę inny nosiła charakter. Nie miała ona żadnych celów podobnych naszym. Wystarczy przeczytać książkę Tuchaczewskiego, która jest niezmiernym dowodem, że bolszewikom chodziło o zagarnięcie Europy środkowej, dostanie się przez Polskę do Niemiec i tą drogą zrewolucjonizowanie całej Europy i rozszerzenie swego panowania nad światem. Pamięta pan, jak to Żuk napisał: „Faktem było niezaprzeczalne, co stwierdza i pan Tuchaczewski, że sowiecka Rosja wojnę prowadziła z nami pod hasłem narzucenia nam, Polakom, ustroju... sowieckiego”. Rewolucja sowiecka jednak pozostała tylko na bagnetach nie mając wtedy wartości wewnętrznej w Polsce, albowiem „akurat wtedy, gdy do bram stolicy p. Tuchaczewski pukał, na czele rządu, który Polskę bronił, stali przedstawiciele zarówno wojsk, jak i robotników, pp. Wincenty Witos i Ignacy Daszyński”. Przecież to nikt inny, tylko szef misji angielskiej, wysłanej w r. 1920 do Polski, lord d'Abernon nazywał bitwę warszawską „osiemnastą decydującą bitwą świata” stwierdzając, że losy Europy potoczyłyby się inaczej, gdyby nie zwycięstwo w 1920 r. Polaków nad Rosją, chcąc przy pomocy bagnetów swych żołnierzy narzucić Europie ideologię komunistyczną i ustrój radziecki.

Nikt wówczas z socjalistów w Europie nie miał wątpliwości, o co bolszewikom chodziło. Wielki mąż stanu Czechosłowacji Tomasz Masaryk właśnie w tym czasie wygłaszał wielkie przemówienia przeciwko bolszewikom stwierdzając, że komuniści rosyjscy nie ma nic wspólnego z socjalizmem i że Czechosłowacja nie może zupełnie wzorować się, ani tym bardziej łą-

SEWERYN EHRlich

MADONNA

ARKI PRZYMIERZA

Różowe fiołki alpejskie,
Złociste gruzelki szyszek,
Ciepłe żenice narcyzów,
Róża woni i ciszy.

Mchów czarno-srebrne westchnienie
Alabastrowa Madonna,
Ażur wieńczący kamiennej
Pod lazurowym skłonem.

Spokojne świece cyprysów
Modlą się czarną zielenią
Modlą się głązy splekane
Żył powzłonionych czerwienią.

MORZ

Morze Martwe nie ma w sobie grozy,
Jest lazurowe jak dziecięcy sen,
Rozświetlone perłową poświatą
I otulone w fioletową mgłę.

Z radia lka tango w nadmorskiej kawie
Powietrze ciche i gęste jak dżem.
U brzegu dzieci składową kamry
I łowią pianę ciągliwą jak krem.

ALEKSANDRA PIŁSUDSKĄ

WIE DLA „ORŁA BIAŁEGO“

czy się z Rosją sowiecką. Historia 1920 roku skwitowała nas z Rosją. Myśmy zawiedli się na możliwościach, uświadomieniu i ambicjach narodu ukraińskiego, który nie chciał dojrzeć prawdziwej drogi do odzyskania niepodległości. Bolszewicy zawiedli się na swych kalkulacjach podboju Europy przy pomocy bagietów i faszystowskich hasel rewolucji, wówczas, gdy Europa, a z nią i Polska spragnione były pokoju i warunków spokojnej odbudowy. Traktat ryski ustalił granicę *jedynego możliwego kompromisu*, który myśmy zawsze honorowali uważając za obowiązujący i niezmienny. W imię tego poszanowania nie pozwalaliśmy się wciągać w żłnę rozgrywki polityczne przeciwko Rosji. Późniejsza polityka pokojowa Piłsudskiego natchniona była

doktrynerstwem. Ja ze swej strony, będąc w innych warunkach wychowania, wolałam zawsze socjalistyczną literaturę europejską. Życie rosyjskie, tak jak mogłam je sobie wyobrazić na podstawie literatury rosyjskiej, przetrzało miłe swoją odrębnością. Nie mogłam zrozumieć, by mogły istnieć postacie i sytuacje Dostojewskiego, czy Gorkiego w życiu codziennym, a przecież to nie jest żałna egzotyka wyobraźni beletrystycznej, lecz właśnie prawdziwa Rosja. Czytając literaturę rosyjską, stykając się z Rosjanami — i także często szlachetnymi, mądrymi i ładnymi — przekonywałam się za każdym razem, że nas — Polaków — wiąży najgłębszy korzeń i nici z inną kulturą: kulturą europejską. Żuk był na wskroś europejskim. Wierzył w człowieka i ce-

by powstało na świecie w wypadku, gdyby większość Europy została skoncentrowana w dyspozycji Rosji. Zagroziłoby to najwyższemu interesom liberalnej gospodarki świata. Zagroziłoby to bytowi wielu narodów nie tylko w Europie, lecz w Azji i Afryce. Zę podbite przez Rosję krajów o dużych zdolnościach przemysłowych, to nie tylko zanik życia gospodarczego tych krajów na rzecz Rosji, lecz również i zagrożenie starym odwiecznym kulturom przemysłowym na rynkach całego świata. I tu są polsko-brytyjskie wspólne interesy. Nie rozstrzygają się one słowami. Nie załatwiają oświadczeniami. Rozwiązuje je historia w drodze wypadków. Rozwiązuje je trzeźwa i realna polityka, która zawsze musi być *zwyczajną, jeżeli nie ustępuje z zamierzonych, jasno wytyczonych celów*. Nie trzeba więc upadać na duchu przy każdym zawahaniu się koniunktury, tak jak żołnierz nie ma prawa wpaść w rozpacz przy bardzo ciężkim nawet komunikacie z frontu. Polityka również dąży do zmiana przeciwnika i załamania go psychicznie. Polityka i wojna tak samo działają depresyjnie i przynębiająco.

Sily i mocy należy szukać w samym sobie, w oparciu o wielkie, nieprzebrane wartości własnego narodu, w zrozumieniu własnych, ogromnych duchowych i materialnych możliwości. Ażeby je wyczuwać i uświadamiać gruntownie, trzeba się uczyć. Wiele uczyć! Trzeba się kształcić i wyrobić politycznie i społecznie. Nie zajmować personalizmami, nie pasjonować rozgrywkami taktycznymi. Nie poświęcać więcej czasu, uwagi i nerwów rzeczom błałym, niż tyle, ile są one warte. Trzeba korzystać ze sposobności, że jesteśmy włączeni do największego wysiłku społecznego, wysiłku wojennego państw i narodów obcych, mających nieraz olbrzymie tradycje rządzenia i samorządu, organizacji i kultury życia społecznego. Trzeba je poznać nie tylko dając do naśladowania — bo są one niewolnicze naśladownictwo do niego nie doprowadzi — lecz dając do zrozumienia, jak powstały, w wyniku jakich przemian, jakich zjawisk. Wtedy naprawdę

ki. A my, którzy tak wielką walkę jeszcze mamy przed sobą, wykreślamy Legiony, wykreślamy POWy, wykreślamy rok 1920, a naważamy do Targowicy, pasjonujemy się Czartoryskimi, powierzchownie interpretujemy Wielopolskiego, zachwycamy się ugodowcami i oportunistami. Co z wielkości i polski narodów Rzeczypospolitej zrobione zostało z ugodowości, oportunizmu? Tylko w narodzie szukać należy dróg, narzędzi i wiary w zwycięstwo!

Trzeba zdobyć się w tej walce na największą obywatelską i żołnierską cnotę — cierpliwość. Żuk i my wszyscy, którzy byliśmy przy nim, mieliśmy tę ogromną cierpliwość i wytrwałość stojąc twardo na gruncie wiary w zwycięstwo. I zwyciężyliśmy. Dłaczę go by i nowe pokolenie — które już zaznało niepodległości, które już wdziało, co nasz naród osiągnąć może po kilkusetletnim zaledwie wysiłku — nie miało osiągnąć zwycięstwa. Dłaczę go by i ten żołnierz, który walczył dziś w kraju — w podziemiach, jak i ten, dla którego pan to pisuje, jak i ten, który tutaj mógł się w oczekiwaniu boju — nie miał osiągnąć tego zwycięstwa.

Nie trzeba przerażać się najcięższymi nawet sytuacjami. Nie po raz to pierwszy. Niech pan posłucha...

Pani Marszałkowa sięga po tom z gablotki zawalonej książkami i czasopismami. Otwiera i zaczyna czytać głosem coraz twardszym, coraz bardziej surowym, jakby karcąc chciała za mało ludzność, zwątpienie, czy słabość:

„Ruch wojsk p. Tuchaczewskiego po otwarciu drogi dla 4 armii i jazdy trwał niestannie. Przecięta przestrzeń na jeden dzień aż do Warszawy i jej okolic walczyła około dwudziestu kilometrów, więc prawie jeden marsz dzienny. Takie długie marsze, przerywane jednak bojami, stanowią mogą zaszczyt zarówno dla armii, jak i dla dowódców... Wpływ tego marszu był olbrzymi... ten niestanny „robaczycowy” ruch większej ilości nieprzyjaciela, przerywany od czasu do czasu, jak gdyby skokami, ruch trwający tygodnie, sprawia wrażenie czegoś nieodpartego, nasuwającego się jak jakaś ciężka potworna chmura, dla której przegrady się nie znajduje. Jest w tym coś beznadziejnego, łamiącego wewnętrzne wartości człowieka i tłumy. Przypominam sobie rozmowy, które w owych czasach toczyłem... Jeden z generałów, z którym często mówić musiałem, prawie co dzień rozpoczynał swą rozmowę i raport słowami: „Ależ marsz! ależ marsz!” Było coś w tym z podziwu i coś z gorczy bezsilności. Na wojskowych marsz taki robi wrażenie jakiegoś potwornego kalejdoskopu, w którym co dzień układa się jakaś nowa sytuacja, z nowymi nazwami punktów geograficznych, pomieszanymi z numerami pułków i dywizji, nowym układem czasu nowym obliczeniem przestrzeni. I chociaż ten poczynany kalejdoskop przesuwają obrazy powoli, lecz swą nieodpartą jednostajnością ruchu po pewnym czasie czyni chaos nie zakończonych kontrkombinacji, nie wypetnionych rozkazów i raportów, nie związanych z nową, już istniejącą realnie sytuacją. Pod wrażeniem tej nasuwającej się chmury gradowej łamało się państwo, chwiały się charakter, miękły serca żołnierzy...”

Łamało się państwo... chwiały się charakter... miękły serca żołnierzy — powtarza Pani Marszałkowa. No i cóż? Naród nie zszedł ani na chwilę z drogi zwycięstwa. Nie usłuchał ugodowców i oportunistów. Nie uległ poszeptom obcych agentów. I zwycięstwo zostało osiągnięte... Tak musi być i teraz. Musi! Wojna łamie nie tylko nas. Los dotyka i gnębi nie tylko nas!

Zapada cisza. Mrok nadchodzi. Pani Marszałkowa jest bardzo zmęczona. Patrzy gdzieś w przestrzeń, jakby doszukać się chciała w niej cienia Tęgo, który natchnął jej życie i życie całego naszego narodu wielkością, wiarą i zwycięstwem. Wywiad jest zakończony.

Ryszard Wraga



Józef Piłsudski w Druskininkach

z jego strony jak najdalej idącymi usiłowaniami zachowania z Rosją jak najlepszych, trwałych stosunków, a inna to już sprawa, że Rosja uznaje, ceni i chwali te tylko polityki innych narodów, które są wobec niej służalcze i które poświęcają interesy własne dla interesów moskiewskich. Ale na taką politykę nie stać było Piłsudskiego wobec nikogo, a wierzę, że nie będzie stać ani teraz, ani nigdy w przyszłości żadnego Polaka. I tylko w imię takiej polityki może i musi Polak poświęcić swe życie.

Żuk znał Rosję doskonale. Interesował się zawsze rosyjską literaturą i sztuką. Czytał ogromnie wiele z literatury bolszewickiej. Zawsze krytykował ją za kazuślikę i

nił człowieka. Życie ludzkie było dla niego wielką wartością. Obaś realizmu w polityce był obciążony wielką romantyką poprzednich pokoleń, romantyka na hasłach demokracji i socjalizmu i odrzucił. Był wielkim zwolennikiem parlamentarizmu i mówił zawsze: „A cóż za szczytna rola tworzyć prawa dla państwa i narodu!” Nie mógł tylko znieść tych bezdroży, na które zszedł polski parlamentarizm. Wiedział zgrabie w tym chaosie gąsławca, przeważnie z nieumiecia wynikającego, tych dwulicowych omówień, nieskończonych dodatków do każdego wyraźnego formułowania, które najprostszą prawdę w niewzbrabrac, tych ciągłych zastrzeżeń, wzajemnie personalnymi lub partyjnymi podkrotowanymi, które nie wspólnego z interesami narodu nie miały. Bolało go to i zwalało to jak mógł, doszukując się prawdy nie w mowach przysięganych mówców i agitatorów, lecz w samym narodzie, który znał doskonale, z którym walczył i o który walczył. Przeglądał się uważnie młodzieży, w której wierzył i do której miał ogromne zaufanie. Uważał, że starzy są zbyt przesiąknięci nie wolą, że mają ogromne hamulce w stosunku do własnego państwa, które traktują z czystą, jakby było zaborem. Idealizm tego był przydatny wybrany przez powszechne głoszenie. Śmiała się, że nie można byłoby to Kiepska.

Piłsudski przez całe życie swe był socjalistą. Worował minimalny program PPS, a natracając realnie na sprawę nie mógł pójść dalej. Nie można było bez tradycji rządzenia, bez głębszej wiedzy w administracji rzykować uprzedmiotowienia całego przemysłu, nie posiadającego w dodatku przeszłości czysto polskiej. Zawsze twierdził, że kosztą administracji przy naszym bałaganiarstwie chorowadziwy państwo do ruiny. Narzekał na brak fachowców, ludzi wykształconych, na brak socjalnego wychowania i wyrobienia. Kiedyś w Sulejówku czytałam jego prace z okresu pierwszok rewolucji rosyjskiej. Powiedziałam mu: „Jak mało zmieniłeś swe przekonania!” Odpowiedział po prostu: „Ja je tylko pogłębiłem”. Występował zawsze przeciwko bolszewickiemu hasłu dyktatu proletariatu uważając, że może ono w naszych warunkach doprowadzić tylko do oligarchii za wodzów polityków i trybunów działaczy, lecz chciał zrobić wszystko, by stworzyć warunki takie, by ten proletariatu mógł się rozwinąć jak najbardziej, stać się naprawdę polskim.

— Czy nie uważa Pani Marszałkowa, że Polska ma wiele wspólnych nici stanu z Wielką Brytanią?

— Istotnie. Wielka Brytania nie może nie doceniać tego niebezpieczeństwa, które



Piłsudski w Sulejówku

staniemy się pożytecznymi w kraju, gdzie tyle będzie do zdziałania. Historii trzeba się uczyć! Historii własnego i obcych narodów. Żuk zawsze zarzucał Polakom tę nieświadomość historii, która nie pozwala im na skonstruowanie realnego, praktycznego programu, pogrąża w abstrakcji i demagogii. Sam posiadał wielką wiedzę historyczną. Wiedział, że z przeszłości niczego nie można wykreślić, a wszystko trzeba wziąć pod rozwagę, gdy się myśli o przyszłości.

Przerażona jestem tą łatwością i lekko-myślnością, z jaką wykreślamy dla personalnej polityki i rozgrywek całej karty naszej historii, idąc w ten sposób (obojętnie-swiadomie czy nieświadomie!) na rękę wrogię propagandy, wrogię polityce. Jakże to przeciętny Anglik czy Szkot nie mają wierzyć Niemcom czy Rosjanom, że Polska była państwem sezonowym, że nie zdobyła się na nic, że ustrój jej był niebezpieczny dla świata, skoro sami Polacy usiłują wykreślić ze swej historii to, co jeszcze wczoraj uważali za najistotniejsze. Jakże mają wierzyć w taki naród, którego ostatnim dobrokiem politycznym była Konstytucja 3 Maja, a następnym z kolei urzodowanie w paryskiej „Reginie”.

Żuk studiował latami historię 1863 roku, ostatni wielki zryw narodowy do zbrojnej walki o niepodległość — by móc realnie przystąpić do swej polityki czynu i wal-

AIN KAREM

Czerwona kropka samochodu
Na szosie srebnej od księżycy,
Mgłą haftowaną w gwiazdy wchodzi
Z pagórków nocy tajemnica.

Na widnokręgu psy szczekają,
Migoczą wioski senne oczy,
Szakale w rozpadlinach grają
Załosne hymny jaskiń mrocznych.

Przez łaki idzie Dobry Pasterz
I nad człowieczą placę biedą,
Ziemia oddycha. Pachną trawy.
Ból gołębicą płynie w niebo.

MARTWE

Wchłonęło Morze rozżarzone miasta.
Ogrody spalił kamienisty grad.
Tylko legenda z wiekami narasta
I z fal wypływa zaginiony świat.

Podobno nocą przy świetle księżycy
Widzę Sodomy widać pośród wód
I wiodą płasy grzeszne tancerzynie,
I szemrze pieśni potępiony gród.

Miedzy wielkimi mocarstwami

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Wojna nerwów przedłuża się. W prasie brytyjskiej i amerykańskiej ukazują się ostrzeżenia przed daniem posłuchu różnym plotkom, rozsyłanym celowo na temat inwazji. Obecnie na przykład najbardziej namierzeni propagatorami inwazji na zachodnią Europę stali się Niemcy. Zapowiadając nieustannie uderzenie szprymierzonych na europejskie brzozy Atlantyku, wprawdzie zapewne przygotowując psychicznie własne społeczeństwo na ciężkie chwile, a ponadto wyzwać, że również ich obrona jest gotowa do oparcia ataku. Temu celowi służył ostatnio artykuł Goebbelsa w „Das Reich”, artykuł zapewniający wszystkich, że Niemcy nie boją się przygotowanej napaści.

Angielskiej opinii publicznej przypominano jedno z oświadczeń Churchilla, że zanim dojdzie do prawdziwej inwazji, ukazać się wiele fałszywych alarmów dla zmylenia wroga. Prawdziwe wiadomości pojawiają się dopiero po dokonaniu desantu, gdy pierwsza faza walki o uchwycenie terenu będzie zakończona.

Wydaje się jednak, że ważniejsze od tych różnorodnych manewrów propagandowych, składających się na to, co nazywamy wojną nerwów, są istotne i realne warunki taktyczne i polityczne, w których mogłaby odbyć się inwazja. Warunki taktyczne wymagają poprzedniego zniszczenia sieci komunikacyjnej wroga i poważnego osłabienia jego lotnictwa. Nieprzerwane ciężkie naloty na Niemcy i okupowaną Europę, mają między innymi te dwa cele na oku. Niemcy zdają sobie z tego sprawę. Widąc to w ich dążeniu do oszczędzania swego lotnictwa i poświęcania raczej miast niż samolotów. Goebbels w artykule w „Das Reich”, po stwierdzeniu, że „nie ma dnia ani nocy, które by nie przypominały o mającej nastąpić inwazji”, zapewniał, że jeżeli myślenie niemieckie nie wyłącza zawsze przeciw bombom alianckim, to tylko ze względu na „złą pogodę”, a nie ze względu na konieczność trzymania ich w ośrodku — ale kto takim wyjaśnieniem uwierzy?

Warunki polityczne dla inwazji wymagają uzgodnienia planu strategicznego na czas wojny i politycznego na czas powojenny. Każde państwo chciałoby oczywiście uzyskać gwarancję, iż jego interesy nie zostaną naruszone i zlikwidowane wówczas, gdy wspólni im siłami wróg zostanie obalony.

Czy taki plan istnieje? Czy nastąpi ujednolicona akcja bojowa przeciw Niemcom na wszystkich frontach?

Na froncie włoskim zanotowano w tygodniu ubiegłym znaczne ożywienie, a nawet pierwsze od grudnia ubiegłego roku postąpienie się oddziałów alianckich na centralnym odcinku frontu, co doprowadziło do zajęcia przez VIII armię kilku wiosek z obszarem 125 km kw.

Na froncie wschodnim natomiast komunikaty światowe nie donoszą o żadnych istotnych zmianach poza zajęciem Swastopolu, którego położenie było zresztą bezdziejne od czasu wycofania się Niemców na Dniestr i wdarcia się wojsk sowieckich na Krym. Odebranie tego półwyspu daje Rosji nowe poważne możliwości do wznowienia uderzeń na Rumunię i Bałkany. Komunikaty niemieckie w przeciwieństwie do rosyjskich donoszą w ub. tygodniu o rozpoczęciu się nowej ofensywy sowieckiej „na wschód od rumuńskiego Seretu”. Miały to być „wielkie natarcia”, przeprowadzane „przy użyciu wielkich sił” celem przełamania niemieckich linii”. Komunikaty niemieckie chwaliły się że wojskom Hitlera udało się wszystkie te natarcia powstrzymać i pozostać na dawnych stanowiskach po zadaniu wojskom sowieckim „ciężkich strat”. Komunikaty moskiewskie milczały na ten temat, natomiast ostatnio podały o „lokalnym przeciwnatarciu niemieckim” na południowy wschód od Stanisławowa. Natarcie to zostało odparte. Według z kolei informacji niemieckich walki toczyły się na linii Kolutomyja—Kuty, przy czym oba te miasta pozostawałyby wciąż w rękach sowieckich. Dochodziło również do walk na południowy zachód od Kowla. Ostatnio Niemcy w swoich komentarzach wyrażali zdanie, że dotychczasowe uderzenia sowieckie były wstępem do właściwej wielkiej ofensywy, która „rozpocznie się za kilka dni”.

Paradoks wojny na wschodzie

Czy zresztą można do ruchów wojsk zarówno niemieckich jak i sowieckich na wschodzie przyrównać zwykłą miarę? Czy nie toczy się tam szczególna odmiana tej „dziennej wojny”, w której mistyfikacja i bluff odgrywają nie małą rolę? Leży przed

niemi atrakcyjny dokument: tajne pismo polskie wychodzące w kraju pod nagłówkiem „Tydzień”. W numerze 47 z dnia 16 lutego 1944 roku, czasopiśmie to, będące „biurem informacyjnym konwentu organizacji niepodległościowych”, głosiło niezmierzenie charakterystyczny episkop wojny na Wołyniu. Cio celowym przykładem naktali:

Stany — Krasze — Łuck... Wszystkie relacje z miast polskich zajętych przez Rosjan pochodzą od ludzi, którzy uciekli je już po wkroczeniu do nich oddziałów bolszewickich. Zdarzają się wręcz fałszywe opisy zajętych przez oddziały rosyjskie miast. Z San i Kowno informatorzy nasi wyjeżdżali jukimi, bezcennymi drogami i nie są pewni co do ich niemieckich ani bolszewickich, dotarli do stryjskiej. Z Łucka informator nasz nie widział nic o wycofaniu się w r. Rosjanów i oparciu w miastach przed oddziałami rosyjskimi wyszły jak co dzień na pracę i nie wrócił się na kuku bolszewicki, którzy kazali mu wrócić do domu. Wziął do domu, sprząkał wazę i inną drogą dotarł na dworzec kolejowy, gdzie zastał podjętą towarowo-osobową, którym po jej godzinie pojechał w kierunku zachodnim i bez przeszkód dotarł do Kowa.

Tego rodzaju sytuacja zdaje się świadczyć, że: 1) Niemcy na tak zwany „polskim odcinku” frontu wschodniego są bardzo słabi i bezbroni, mając tylko niewielkie oddziały stojące na miastach. Oddziały te zresztą nie więcej do miast oddziałów rosyjskich wychodzą się też walki mając częściowo czuły na ewakuację ludności, ani na zniszczenie składowisk i miast. 2) Oddziały rosyjskie nie są realnymi i celowymi, największymi formacjami, a niewielkimi jednostkami, najprawdopodobniej wspomagany oddziałami partyzanckimi, które od 1941 roku utrzymywały się w części ludności wiejskiej po lasach, a teraz rozwiązuje się z nimi w ścisłą współpracę, przystępując co częściej, ugrupowaniu z dowódcami i ich siłami, składowiskami.

Czy w świetle tej notatki nie należałoby podesć pewnej rewizji wiadomości, które nie były z tego odcinka frontu o dziejących się tysiącach zabitych, rannych i jeńców? Zdaje się, że choć strona starająca się, by straty nie były zbyt wielkie i... czekają na to, co z nich będzie. Decyzja zachodu wywierałaby nową sytuację, która miałyby swe refleksy na wschodzie. Zarówno wojskowe jak i polityczne. Jak? Tego nie przewidzimy. Wojna ta jest aż nadto dziwna...

Przed nową konferencją trzech?

Amerykański podsekretarz stanu Stettinius, który bawił w Anglii, by omówić zagadnienia związane z inwazją, nie udał się do Moskwy, lecz wrócił do Waszyngtonu, gdzie zjawił się również ambasador amerykański w Rosji Sowieckiej — Harriman. Obaj dyplomaci odbyli długie narady z prezydentem Rooseveltem. Na konferencji prasowej prezydent Roosevelt zapewniał, że misja p. Stettinusa w Londynie osiągnęła pełne powodzenie. Prezydent dodał że „poczyniono duże postępy” w rozmowach z oficjalnymi kołami brytyjskimi i że „w niedalekiej przyszłości należy spodziewać się nowej konferencji z udziałem przywódców alianckich”.

Wynikało z tego, że rozwój wydarzeń międzynarodowych od czasu konferencji w Icheranie wymaga nowego rozpatrzenia przez kierowników trzech wielkich mocarstw.

Jak stosunki te układają się obecnie? Daliśmy nieco informacji na ten temat w poprzednim nr. „Orla Białego”. Obecnie możemy powołać się na wywiad umieszczony w „Palestine Post” — ze znanym dziennikarzem amerykańskim Edgarom Moorem. Według niego, stosunki anglo-amerykańskie układają się pomyślnie, czego dowodem jest zgoda Wielkiej Brytanii na amerykański projekt budowy rurociągu z Saudyjskiej Arabii oraz przychylnie potraktowanie interesów amerykańskich na Środkowym Wschodzie. P. Mowrer dodał jednak zniechęcająco: „Opinia publiczna amerykańska nie prosiła Wielkiej Brytanii o „likwidowanie Imperium”, jak o tym czasem mówiono, lecz zwracała się do niej o przyspieszenie udzielenia większej niezależności różnym częściom składowym tego Imperium”.

Zdaniem Mowrera, ogromna większość Amerykanów popiera myśl p. Cordella Hulla o uczestnictwie Stanów Zjednoczonych w współpracy międzynarodowej po wojnie. Ilość izolacjonistów w Ameryce jest niewielka. Zachowanie się jednak Amerykanów po wojnie będzie zależało od tego, czy żołnierze wracający z wojny uznają, iż zwycięstwo było „tego warte”. Czyli jeżeli pokój będzie zapewniony w duchu Kartą Atlantycką i konferencji teherańskiej (?) — plan p. Hulla odniesie sukces. Lecz jeżeli po wojnie — twierdzi p. Mowrer — powstaną „sferę wpływów” lub rozwinię się polityka mocarstwowa róż-

nych prądów — wówczas żołnierze amerykańscy będą przeciwni, którzy staną się izolacjonistami i będą zwolennikami wycofania się Stanów ze współpracy międzynarodowej.

„Z tego punktu widzenia — wywodzi dalej p. Mowrer — wynika, iż rząd amerykański nie może głęboko zainteresowany zatargami polsko-rosyjskimi. Nie może on i nie chce zapomnieć, że Polska była pierwszym krajem europejskim, który stawiał zbrojny opór Hitlerowi. Amerykanie nie mogą zapomnieć, dlaczego Moskwa porzuciła Polaków anieli Finów. Amerykanie wobec tego stawiają sobie pytania, czy Rosja poddała jurki widzenia amerykański i brytyjski jeśli chodzi o przyszłą organizację świata. Zgadza się, że Rosja nie chce być wielkim państwem, jakie kiedyś miała opanować na jakie zagadnienie. Amerykanie powinni się zwrócić do Rosjan i wyrazić wpływ na sprawy amerykańskie — jeśli to ma przynieść współpracę międzynarodową — pod warunkiem jednak uzgodnienia ze strony Rosjan, jeśli zaś nie, to nie. Amerykanie oczywiście nie będą przeciwni, aby Rosja, mimo, lecz po prostu powrócą do „swoich domów” i będą przystępowali się do nowej ery międzynarodowej konkurencji”.

W końcu tej uwadze zawarte jest ostrzeżenie. Motyw tego ostrzeżenia pod adresem ewentualnych konkurentów Stanów Zjednoczonych nie po raz pierwszy ukazuje się w publicystyce amerykańskiej.

Przyszłość stosunków z Rosją

W szczególności przyszły stosunek do Rosji Sowieckiej przesiewa się wciąż dość zagadkowo dla wielu polityków amerykańskich. Szary Złotocznik nie zważa, by dotąd z Finlandią mimo niewycofania rękodźców polkowych litko-sowieckich. Sekretarz Stanu p. Cordell Hull wyjawia również, że amerykańscy zwolennicy Związku Patriotów Felskich, ks. Orlemański i prof. Lange, udali się do Moskwy prywatnie i na własną rękę nie otrzymując żadnych zleceń od rządu Stanów Zjednoczonych. Rząd amerykański dostarczył im tylko środków transportowych. Ks. Orlemański, który jest obywatelką amerykańską, działał zaś w Moskwie na własny rachunek. Zdecydowanie więc może reklamą prasową szerzona w niektórych piśmiech alianckich na temat tej wyprawy, do której nikt ks. Orlemańskiego nie upoważniał.

Stany Zjednoczone obródozi zresztą nie tylko to, co Rosja czyni w czasie wojny z Niemcami, ale co zamierza uczynić po wojnie z nimi. A na to pytanie nikt nie potrafi ściśle odpowiedzieć. Pytanie to ważne jest zwłaszcza dla odczyna przydatna Roosevelta, który według wielu danych stanie w tym roku po raz czwarty do wyborów prezydenckich.

Konferencja imperialna

Konferencja premierów Wielkiej Brytanii i dominów była również wyrazem głębokich trosk, które ciąży na Brytyjską Wspólnotą Narodów, trosk związanych z twierdzeniem marsz. Smutsa o możliwości utraty przez Imperium dominującej pozycji w świecie na rzecz nowych wielkich kołosew: Stanów Zjednoczonych i Rosji.

Co prawda, premier Churchill na zapytanie w Izbie Gmin, czy możliwe jest ustąpienie Amerykanom na stałe baz brytyjskich wydzierżawionych im na Zachodniej Półkuli odpowiedział znowu kategorycznie, że „nie zachodzi żadna kwestia odstąpienia terytoriów brytyjskich”, to przecież zakładając nawet, iż ówczesne Imperium nie ulegnie zniszczeniu w wyniku tej wojny, reprezentować ono gotowe mniejszy potencjał niż mniejsza prężność od dwóch pozostałych wielkich sojuszników. Od czasu zresztą, gdy zasady Kartą Atlantycką oraz integralność terytorialna państw sąsiednich podważane są z zadowalającą lekkością, żaden mąż stanu nie może być pewien trwałości praw terytorialnych swego państwa.

Lecz nie w tym leży dziś trudność największa. W „Union Jack” ukazał się artykuł głośnego parlamentarzysty brytyjskiego, członka Labour Party, Emanuela Shinwella. Lewicowiec ten polityk wyjawia się na rzecz większej zwałości Imperium brytyjskiego. Uważa, że „pierwszym krokiem” w kierunku współpracy międzynarodowej, jeśli chodzi o Anglię, jest wytworzenie „organizacji jednolitej z licznych członków, które składają się na Brytyjską Wspólnotę Narodów.” Shinwell zapewnia, że nie chodzi mu o stworzenie samowystarczalnego bloku lub też o „wzniesienie barier między nami a Ameryką i Rosją Sowiecką”. Ale, jak powiada, trzeba sobie powiedzieć z „całą szczerością”, co następuje:

„Wielka Brytania z ludnością około 50 milionów z ograniczonymi zasobami nigdy nie będzie mogła utrzymać się na tej samej stopie gospodarczej co Stany Zjednoczone i Rosja Sowiecka

z ich wielkim zaludnieniem i wielkimi bogactwami. Tym mniej zdają to osiągnąć dominia, których bogactwa nie są rozwinięte a liczby ludności nieznaczące.”

Natomiast Brytyjska Wspólnota Narodów jako całość może dorównać Rosji i Stanom Zjednoczonym i wycisnąć z nimi w dyskusję gospodarczą „nie jako słabszy partner, ale na równie stopie”.

„Nie jest prawdopodobne, pisze p. Shinwell, by konferencja premierów imperialnych przejęła, jakkolwiek propozycję ograniczenia praw każdego członka Brytyjskiej Wspólnoty Narodów do uchwalenia w układy z innymi krajami, nie będzie też miała żadnego prawa przeszkodzenia mu w tym. Z drugiej strony konferencja popłynie błąd, gdyby nie chciała widzieć możliwości: Stanów Zjednoczonych szukania takich porozumień z każdym dominium po kolei i to na niekorzyść Imperium, jako całości.”

Posel Shinwell poruszył tu otwarcie drażliwą stronę stosunków brytyjsko-amerykańskich. Sprawa Kanady, Australii, Nowej Zelandii wyłoniła się tu dość wyraziście. Jednocześnie wszakże wysunął się zagadnienie stosunku Imperium oraz Wielkiej Brytanii do Europy po wojnie. Gdzie znajdzie się centrum polityki brytyjskiej? Czy będzie nim nadal Anglia? Czy przesunie się ono ku Kanadzie lub Australii? Czy Anglia patrzeć będzie na Europę jak na naturalne oparcie w nowej trudnej fazie swej historii? Czy też poświęci ją, by skupić uwagę na obronie swych pozycji na oceanach? A w takim razie, czy nie będzie szukała ściślejszego jeszcze zbliżenia z Rosją placąc jej koncesjami na kontynencie? Jak ustali się jej polityka wobec Japonii i Chin? Oto szereg spraw związanych ze spletem zagadnień anglo-amerykańskich.

Niewiele na razie wieści przeniknęło z obrad konferencji imperialnej. Jedną z głównych ról odgrywa na niej, jak się wydaje, premier australijski Curtin. Wypowiedział się on za utworzeniem centralnego komitetu imperialnego, a zatem przeciw dążeniu dośrodkowemu w Imperium. Stwierdził również, że „Hitler musi być pokonany pierwszy” z tym, że następnie wszyscy sprzymierzeni winni uderzyć na Japonię. Zagadnienie kolejności rozprawiania się z wrogami nie powinno zatem wprowadzać rozdziałów w tonie Imperium. Natomiast, czy istotnie wszyscy alianci uderzą na Japonię, pozostaje pytaniem nie wyjaśnionym wobec niejasnego stanowiska Rosji.

Radio brytyjskie dodało do wypowiedzi premiera australijskiego szereg komentarzy stwierdzających, że konferencja premierów brytyjskich miała zbliżyć Europę do świata i świat do Europy za pośrednictwem Wielkiej Brytanii.

W proponowanym komitecie centralnym Imperium Brytyjskiego Australia byłaby decydującym doradcą w sprawach Pacyfiku, a Wielka Brytania w sprawach Europy. Wynikałoby z tego, że dla Wielkiej Brytanii sprawy europejskie nie przestają być dominującą. W świecie anglosaskim ona zatem wzięłaby na siebie odpowiedzialność za zagadnienia kontynentu.

Na podstawie tych doniesień można by sądzić, że konferencja imperialna rozwija się pomyślnie dla polityki brytyjskiej. Dla dominów pozostawanie w Brytyjskiej Wspólnoty Narodów daje w ich mniemaniu większe rękojmy swobody i rozwoju niż włączenie się do innych systemów, pod warunkiem wszakże, że Imperium będzie dość silne, by bronić swych posiadłości rozrzuconych po świecie. Wielka Brytania natomiast zachowa w Imperium swą dominującą rolę, o ile będzie w Europie silna, o ile nie będzie zmuszona zwracać się wciąż do dominów o pomoc przeciw takim czy innym wrogom europejskim. Dał temu wyraz przed paru dniami brytyjski minister produkcji wojennej Lytleton oświadcza, iż po wojnie Wielka Brytania będzie musiała utrzymać swoją armię i nie będzie mogła pozwoilić sobie na ponowne popadnięcie w stan, w jakim znalazła się po wojnie poprzedniej. Trwały pokój, mówi p. Lytleton, musi być zabezpieczony siłą. Swoją pozycję na świecie zawiadza Wielka Brytania temu, że jest rasą walczącą.

Trzeźwe wywody p. Lytletona mają swoją wymowę. Nie świadczą one o widocznym o zbliżaniu się ery spokoju i wytchnienia. Minister Lytleton liczy się z okresem powikłań, wobec których nikt nie będzie mógł być bierny i wobec których ostoja się tylko rasy walczącej.

